



Do art. „Karpaty“.



MORSKIE OKO.

Fot. ze zbiorów pracowni przetwórczy „Światłocień“.

# Polska, jako kraina przejściowa.

(Dokończenie).

Nie tylko w rzekach, ale i w jeziorach istnieje pewna, choć niejednakowo rozwinięta symetria. Jeziora nadbrzeżne bałtyckie, hafy, oddzielone mierzejami, odpowiadają limanom czarnomorskim, oddzielonym kosami; jeziora dawnego zlodowacenia na Pojezierzu odpowiadają takim samym jeziorom w południowych górach granicznych, zwłaszcza w Tatrach. Te odpowiedniki rozdzielone są w osi symetrii, w Krainie Wielkich Dolin, jeziorami rzeczniemi, gdyż rzeki tutejsze, wolno płynące, tworząc serpentyny i wylewając, przyczyniają się do powstawania jezior.

Symetria klimatyczna ujawnia się również, choć słabo; ujawnia się mianowicie w temperaturze (rzeczywistej) i opadach, które zależą od stosunków hypsometrycznych. Więc np. Kraina Wielkich Dolin, jako niżej leżąca, stanowi pas stosunkowo cieplejszy i uboższy w opady, rozdzielający dwa pasy wyżynowe chłodniejsze i obfitsze w opady. W ostatnim względzie pewne zaburzenie symetrii tworzy suchy stepowy południo-wschód z jednej strony, a dość obfite w opady Polesie (z powodu błot i lasów) z drugiej strony; ale jest to tylko początek nowej symetrii wschodnio-europejskiej na wielką skalę: symetrii ubóstwa opadów stepowych na południu i polarnych na północy, rozdzielonych pasem opadów obfitszych.

Symetria klimatyczna prowadzi za sobą też pewną symetrię florystyczną; mianowicie niektóre rośliny, wymagające klimatu chłodnego (np. świerk), spotykamy w górach południowych i na wyżynie Bałtyckiej. Pewna zaś symetria hydrologiczna, a mianowicie bystrość wód górskich i wód pojezierza, rozdzielonych spokojnemi wodami Wielkich Dolin, krainy pijawek, wywołała symetrię fauny rybiej, mianowicie—występowanie pstrągów zarówno w rzekach górskich i wyżynowych południa, jak i w rzekach Pojezierza.

Ten symetryczny, w ogóle pasowy układ równoleżnikowy wywarł pewien wpływ i na człowieka, wytworzył pewien pasowy roz-

kład typów antropogeograficznych, niezależny od pstruczyny etnograficznej. Pod tym względem można rozróżnić na naszym obszarze niezależnie od narodowości następujące typy antropogeograficzne: Pomorzanie (bałtyccy), Pojezierzanie, Polesianie lub Porzeczanie (w Krainie Wielkich Dolin), Opolanie (na lessowych równinach), Podgórzanie (na nizinach podgórskich), Pogórzanie (górale) i znowu Pomorzanie (czarnomorscy).

W tej pasowości antropogeograficznej ujawniały się początkowo też pewne ślady symetrii kulturalnej; w zaraniu dziejów najstarsze objawy kultury pojawiły się na Pomorzu czarnomorskim jako kolonie greckie, które później zostały zastąpione przez genueńskie; na Pomorzu zaś bałtyckim pojawiła się wczesna stosunkowo kultura Pomorzan, następnie Hanza. Wkroczenie Krzyżaków wzdłuż Bałtyku i Pojezierza na wschód, a wkroczenie Tatarów wzdłuż morza Czarnego i stepów na zachód wytworzyły dwa symetryczne rygle polityczno-etniczne, które odcięły Polaków od mórz; drugi z nich zniszczył symetrię kulturalną, łamiąc jej gałęź południową, czarnomorską.

I w tej podrzędnej właściwości—symetrii—ujawnia się cecha główna—przejściowość: ku zachodowi symetria ubożeje i wygasa (nad Elbą), ku wschodowi elementy symetrii stają się liczniejsze, symetria—doskonalsza, wschodnio-europejska.

Tak więc przejściowość z zachodu na wschód jest cechą główną Polski, stanowi jej *qualité maitresse*, odbija się we wszystkich organach, we wszystkich funkcjach tego organizmu geograficznego, który niby nowy Janus posiada dwa oblicza—jedno zwrócone na zachód, drugie na wschód.

Zasada, poparta tylu dowodami, wyjaśniająca tyle zjawisk, występuje obecnie przed nami, jako niezbita prawda; możemy więc śmiało odpowiedzieć naszym krytykom, że nie wygłaszanie tej zasady, lecz zaprzeczanie jej jest „nieuctwem“; a że prócz tego





# Z dziejów Krakowskiego Przedmieścia.

(Dokończenie.)



PODWÓRZE DOMU REZLERÓW.

Fot. St. Thugutt.

Myliłby się grubo jednakże, komuby z tej racji w myśli stawało dzisiejsze uporządkowane, wyasfaltowane, suto oświetlone Krakowskie Przedmieście. Ulica była jak na owe czasy jedna z piękniejszych, ale to nie wykluczało ani stert śmieci i brudu, ani błota, w którym trzeba było brnąć po kolana, ani ciemności, które sobie samemu trzeba było latarką rozświecać. Wprawdzie dzięki herkulesowej pracy marszałka Bielińskiego i Komisji Brukowej, oczyszczono nieco te stajnie Augiasza, dając nowe bruki jeszcze za Augusta III na 18 znaczniejszych ulicach; wprawdzie z łaski dbałości prezydenta Dulfusa postawiono około roku 1754 pierwsze latarnie przed ratuszem staromiejskim, w bramach miejskich i przed znaczniejszymi bodaj pałacami, ale wobec niedostatecznych środków, wobec, co gorsza, niezliczonych jurydyk czyli olbrzymich terytoriów prywatnych, które prawu miejskiemu nie podlegały, więcej w tem było dobrych chęci, niżli rzetelnego pożytku, i po staremu, kto wracając wieczorem do domu nie chciał sobie guza nabieć na czoło, musiał albo sam zabierać ze sobą latarkę, albo wynajmować latarników, którzy w miejscach publicznych usługi swoje ofiarowywali.

To też mimo wspaniałego rzędu pałaców,

mimo istnienia siedmiu kościołów, z których cztery po dziś dzień są prawdziwą ozdobą miasta, mimo pięknych kamienic i sklepów bogatych, niczem mniej ulica nie była jak szarmonizowaną do jednego tonu całością. Imponowała przyjezdnym poważna fasada bernardynów, nęcił ich wdzięk wizytek, ale tuż przed nimi, jako na najszerzszych miejscach najprzestronniejszej w mieście ulicy, były targowiska z ich nieodłącznym niechlujstwem i harmidrem. Przy wejściu do Starego Miasta na całym Krakowskim Przedmieściu sprzedawano cytryny, pomarańcze i inne zagraniczne owoce; przed Kościołem Ś-go Krzyża pełno było bud ze świeżo solonemi rybami, owocami, mięsem, które wprost na miejscu w rynkach smażono. W bramie Krakowskiej leżeli na barłogach żebracy, co mówiąc nawiasem później po 12,000 tyńfów posagu za córkami dawali, tu i owdzie stał zagrzeżły w błocie wóz, obok którego rwała bryzgająca błotem karoca z poprzyczepianymi od tyłu hajdukami.

Bo jeśli czego tu nigdy nie brakło, to ruchu. A wtedy mniej, niż kiedykolwiek. O tej późnej, przedwieczornej godzinie, idącej w ciemną noc Rzeczypospolitej, w tej stolicy, która z takim krwawym mozołem szła ku wyższemu szczeblom rozwoju, życie kipiało i przewalało się jak wrzątek, jak woda w ściśniętej gardzieli kamiennej, z której lada chwila w głąb przepastną runie całą masą wodospad. Szalał wśród uczt i bankietów aż do końca, jeśli nie poza wszelkie możliwe krańce, stary, zamierający świat; rosto krzepnąc nowe,



DOM DOBRZYCZÓW (2-gi od rogu Podwala).

Fot. St. Thugutt.

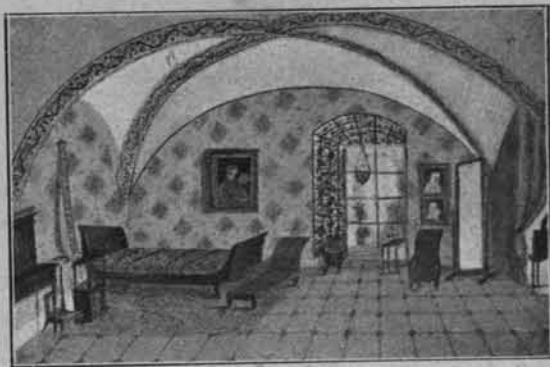


młodsze pokolenie, nowy zadatek przyszłości. Jeszcze był nie wyległ na ulicę, nie powiedział swego mocnego słowa, prawy gospodarz miasta — lud warszawski, ale już bacznie i ciekawie przyglądał się tej przedziwnej sarabandzie, w której podgolonego szlachcica trącał łokciem podupadły markiz z dalekiego południa, skromny synek mieszczański z Piły, Staszic, szedł w jedną drogę z dumnym Gedyminowiczem—Czartoryskim, a czarno odziane procesy mieszczańskie chodziły do sejmu dopominać się praw, sobie należnych. W żadnej może epoce życia Warszawy tylu w niej nie gościło cudzoziemców, w żadnej napewno nie odgrywali takiej znacznej roli, jak wówczas. I nigdy też przedtem, jak wówczas, życie, które tędy—Krakowskiem Przedmieściem—płynęło, nie tryskało takimi rakietami dowcipu i wesołości, nie błyskało takim ogniem żywym, a zwodniczym, nie wybuchowało takim zapalem, nie huczało takim gniewem i nie płaciło zań później tak gorzkiej kary.

Aż nadszedł kres, aż wybiła godzina.

Zarosły zielskiem obszerne dziedzińce pałaców, opustoszały ulice, pyszne siedziby magnatów obróczone na szulernie i szynki. Zatrzymało się, jak gwoździem przybite, w swoim rozwoju miasto, wczoraj ożywiona rezydencja królewska, dziś stolica Prus Południowych. Nie budowano się, bo i tak miasto było na swoją ludność zbyt obszerne, a nowi władcy nie budowali, chyba odwach przed bernardyńskim kościołem. A kiedy w niezgastem popielisku nowe iskry pobłyskiwać zaczęły, był to już tylko cień cienia. Wprawdzie w dawnych królów mieszkaniach nie pajak wiał pajęczynę i nie puszczyk wydawał głos ostrzeżenia, jak malowniczo wyraził się Czacki, tylko mieszkał jen. Koehler, ale to dla ludności Warszawy wychodziło bezmała na jedno. Ani nawet dwór królewskiego synowca, ks. Józefa, pod Blachą, nie mógł zastąpić stryjowskiego dworca, choć jak tamten pełen był francuszczyzny, wylewającej swój nadmiar w błyskotliwej igraszce, w świetnym teatrze „socyety“, grywanym przez arystokratyczną młodzież warszawską w pustych salach radziwiłłowskiego pałacu. Pośrodku między tymi dwoma krańcowymi punktami, jakby dla nadania tej części ulicy całkiem paryskiego wyglądu zamieszkał pod nazwiskiem hr. de Lille, zdetronizowany król Francji Ludwik XVIII, najprzód w tylokrotnie wspomianej kamienicy Wasilewskich, później w ustąpionych sobie przez ks. Lubomirską szczątkach pałacu Kazanowskich. Widywano go w pierwszym z tych mieszkań czasem na małym narożnym balkonie, w szaraczkowym fraczku i aksamitnych dla podagry pończochach, często z nogi na nogę przestępującego.

Ale jakby dla zrównoważenia tej gwarliwej, czasem nieco mętnej fali francuskiej, która się



MIESZKANIE  
Z EPOKI KS. WARSZAWSKIEGO.

Zo starego rysunku.

przelewała ulicami Warszawy, mieściła się na przeciwległym krańcu tego samego Krakowskiego Przedmieścia w kamienicy misyonarskiej jedna z mocniejszych, jedna też z czystszych ostoi polskości—dom czcigodnej Maryanny ze Świdzińskich Lancokorońskiej, kasztelanowej połanieckiej, ostatniej zdaniem współczesnych matrony polskiej, do której salonu nie miała dostępu nietylko obmowa, ale co już dziwem było nad dziwy, nawet pieszczona mowa francuska. Czasy to były, trzeba pamiętać, w których szesnastoletnie dziewczęta wśród wieczornych, poufnych wywnętrzeń składały uroczyste zaklęcia, że człowiekowi, co po francusku dość biegle nie mówi, ręki i serca nie dadzą.

To też w nienajpośledniejszej mierze za zasługę jej poczytać należy, że wespół ze Staszicem i Soltykami, z Czackim i Bogusławskim ratowała w pruskiej Warszawie to, co nie było już pozornie do odratowania. I kiedy w kilka lat potem mocne, piorunowe zwycięstwa „boga wojny“ wyгнаły z Warszawy Prusaków, kiedy zamiast czy obok emigrantów zalały ją irwącym, gwałtownym, połykliwym potokiem przepysznych mundurów, rozgwarem „wielkiej armii“ i napełniły suchym, dyktatorskim tonem rezydentów francuskich — już się było spełniło, już nikt wątpić nie mógł, że pomimo wszystko z gruntu aż po najgłębszy rdzeń życia Warszawa jest polska. I obok tego obcego, przemożnego potoku płynął już wyraźnym korytem inny skromniejszy, lecz własny. Obok świetnych przeglądów wojskowych, jakie Napoleon na Krakowskim Przedmieściu odprawiał, obok odwachu bernardyńskiego, do którego w pierwszym, nocnym wjeździe do miasta wstąpił napić się wody, odbywały się na placu Saskim inne miłsze sercu przeglądy ks. Józefa, których pamięć później codzienne występy ks. Konstantego zaćmiły, a które jednak trwalszej są warte pamięci. Nierzadko mógł spokojny przechodzień widzieć, jak tu na placu czy jak wówczas jeszcze zwano „dziedzińcu“ Sa-



PALAC NAMIESTNIKOWSKI.

*Ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.*

skim świetny, pełen rasowego wdzięku i ujmującego wzięcia się osobistego „książe-minister“ brał po skończonym przeglądzie dwóch wiarusów o groźnych, szerniałych od wszystkich wichrów i słońc twarzach pod ręce, prowadząc ich do siebie „pod Blachę“ na obiad. Tędy też — przez Krakowskie Przedmieście szły młodzieńcze zastępy po świetnej wiosennej kampanii 1809 roku, zatrzymując się na tym samym znów placu Saskim, na którym przez kilka tygodni musztrowali się krótkotrwali goście Warszawy — Austriacy.

Ale wnet wkrótce potem, jako tragiczny a wzniósłszy akord końcowy szedł tą samą drogą ku kościołowi świętokrzyskiemu orszak żałobny bohatera z pod Lipska, ks. Józefa, wśród grzmotu dział, jęku dzwonów i głębszego może ponad nie bicia serc w piersiach, serc umęczonych, które już nawet wierzyć i spodziewać się siły nie miały...

Świetny, pełen zapału, wiosny i słońca, pełen także krwi i mozołu epizod odradzającej się Polski został tem wiekiem trumny księżęcej zamknięty. Nie pozostało po nim, jeno garść krzepiących wspomnień na ciężkie jutro, jeno błyskotliwa wizja obcego tłumu, przyjaciół i wrogów, pogromców i zwyciężonych, łupieżców i protektorów, który szczelnie przez te lat kilka ulice Warszawy wypełniał.

Bardziej trwałych, bardziej zwłaszcza widomych pamiątek, nowych gmachów, posągów, dzielnic, te czasy nie zostawiły. Nie było po temu czasu, nie było przede wszystkim możności. Dobrze, jeśli się dało uratować to, co było z dawniejszej epoki, jeśli starczyło na podtrzymanie i odnowienie kolumny Zygmunta, na uporządkowanie i oddanie władzom edukacyjnym pałacu kazimierowskiego. I tak jeden z kościołów — dominikanów

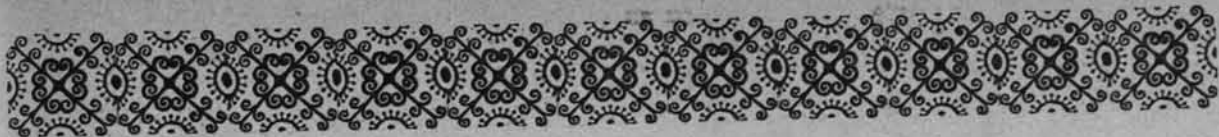
obserwantów — trzeba było na koszary, inny — świętokrzyski dolny — na wojskowy skład wina obrócić.

Tem mniej się mógł ktoś z osób prywatnych budować, stawiać nowe pałace czy choćby stare odnawiać. Bieda była przy całej względnej pomyślności zewnętrznej taka, że najmożliwsze rodziny gnieździły się w kilku pokojach, resztę oddając gościom niezawsze proszonym i znów dobrze było, jeśli się dało przechować i uratować to, co z poprzednich, choćby ciężkich politycznie, ale pomyślniejszych ekonomicznie czasów pruskich pozostało. O dawnym monarszym nieomal przepychu Kazanowskich,

o niedawnej chociażby rozlewności Radziwiłłowskiej nie mogło być mowy obecnie — miejsce ich zajęła skromniejsza, choć niepozabawiona swoistego wyrazu i pewnej okazałości prostota stylu cesarstwa.

Budować się, uprzątać i porządkować zaczęto później dopiero, za czasów piętnastolecia królestwa kongresowego zwłaszcza. Że to było w duchu epoki, zburzono przedewszystkiem Bramę Krakowską i wysuniętą ku Krakowskiemu Przedmieściu część zamku, zwaną grodem, przerobiono znacznym nakładem pałac radziwiłłowski, strojąc go w kolumny, tarasy i zdjęte z bramy Krakowskiej posągi. Od tej właśnie pory, że w nim mieszkał Zajączek, zwiemy go namiestnikowskim. Na miejscu zniszczonego kościoła dominikanów stanął pomnik gorącej, bezprzykładnej u nas nieomal ofiarności Staszica — gmach Towarzystwa Przyjaciół Nauk, przed nim tegoż Staszica w znacznej części nakładem Kopernik Torwaldsenowy. Opadły z przed Karmelitów i Wizytek kraty, co je od ulicy dzieliły, ścisnął się i zmalął podjazd świętokrzyskiego kościoła. W dawnym pałacu kazimierowskim liceum przerodziło się w pierwszy co do czasu uniwersytet królewski warszawski. Ulice nie tylko wybrukowano, ale oczyszczono ze śmieci i brudu, co zresztą, nawiasem powiedziawszy, dawało niekiedy okazyję do widowiska dosyć osobliwego, były bowiem wypadki, że W. Książę Konstanty zapędzał do tej roboty obywateli miejskich za karę.

Z tem wszystkim, choć porządku, światła i miejsca przybyło bezspornie, ulica jakby zszarzała, jakby zmierzchnęła cokolwiek. Na bujnym jej, bogato rozrosłym obliczu z XVIII wieku, wiek następny odcisnął swój stempel niwelujący aż za nadto wyraźnie. A i to, co w późniejszym na-



stępnym czasie przekształcało Krakowskie Przedmieście, częściej miało na oku wygodę i współczesne wymagania praktyczne, niż piękno w jego wyższych przejawach. Przybył szeroki i wspaniały Zjazd — burząc smukłą i ciekawą wieżyczkę klasztoru Klarysek, przybył banalny gmach Towarzystwa Dobroczynności i niemniej banalna resursa, w które wsiąkły resztki pałacu Kazanowskich, dwum wielkim hotelom — Europejskiemu i Brystolowi — ustąpić musiały — niepozabawiony wyrazu i wdzięku dom Gerlacha i stary pałac Tarnowskich. Jeśli na co się można zgodzić bezwzględnie, to na zburzenie ruder, co jak wyspa na środku ulicy osiadły od kamienicy Wasilewskich do kościoła Karmelickiego, na przebiecie ul. Miodowej, wzamian za co zginął przesmyk, łączący Krakowskie Przedmieście z Kozią, — ul. Krótka. O upiększeniach w rodzaju przebudowy gmachu Tow. Przyj. Nauk, lepiej oczywiście nie mówić, tym bowiem całkiem osobny należy się rozdział.

I oto doszliśmy aż do progu dnia dzisiejszego, stanęliśmy na ulicy, jak ją dzisiaj często nazbyt roztargnionym okiem widzimy. Z umysłu, jeśli nie z konieczności, trzeba było pominąć to, co z zewnętrzną zmianą wyglądu stało w w związku najbardziej ścisłym, co było jej sensem i znaczeniem wewnętrznym, trzeba było pominąć — życie.

Nie pozostało tu po niem nic, chyba te trochę krwi, co wsiąkła między kamienie, chyba kilka nowych zmarszczek na śpiżowym czole Zygmunta. Ale kto będzie chciał wczuć się i wżyć w porozbiorowe dzieje narodu, kto będzie chciał, by mu serce na ton wielkich dni biło, musi przyjść tu właśnie — na Krakowskie Przedmieście w Warszawie — musi czekać, aż mu przed oczyma przejdzie korowód cieni, aż otworzą się mury kamienne, aż mu gadać zaczną echa powietrzne.

I wtedy zrozumie.

*Stanisław Thugutt.*



# KARPATY.

Dlatego też nie tylko poszczególne turnie, ale całe grzbiety Tatr wysokich „przedstawiają — jak mówi Romer — zmurszałą i zdruzgotaną masę skalną, a zdala mają postać poszarpanych dzikich pił i grzebień” — szczególnie powyżej 2200 metrów, gdzie takie skoki temperatury najczęściej mają miejsce. Dzikie

i groźne są te turnie tatrzańskie, a jednak wspaniałe w tym stroju rumowiska skalnego. U stóp ich leżą „cyrki” — „amfiteatry” kotliny, z trzech stron zбочzami skalistych wirchów otoczone, a z jednej otwarte. Cyrki często



ZBOCZE RYSÓW.

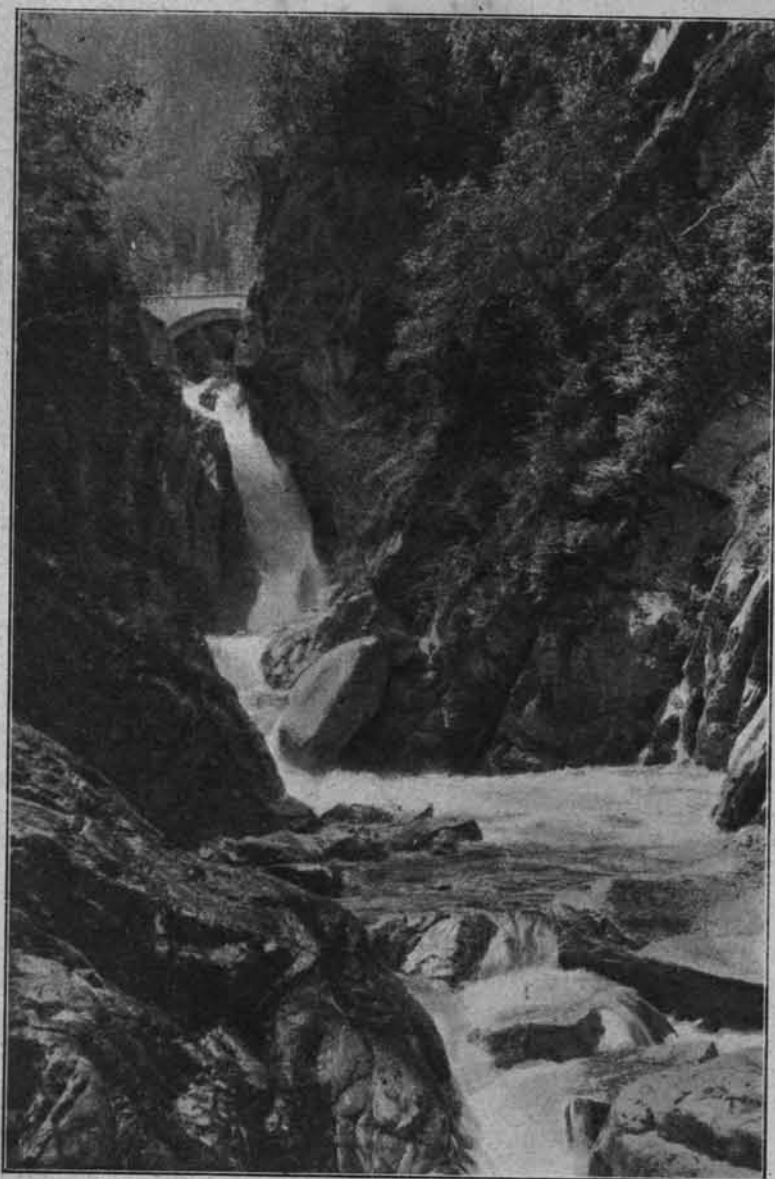
Z „Geologii” W. Friedberga.



DOLINA ROŻTOKI (na prawo zbocza Wołoszyna).

Fot. Z. Sosnowski.

występują na różnych poziomach, a wtedy im wyżej leżą, tem więcej są zwarte, ścięśnione



WODOGRZMOTY MICKIEWICZA.

Fot. W. Lebidziński.

„Wielki“ daje odpływ Roztoce, która „wielką Siklawą“ spada po granitowej ścianie w dół z wysokości około 100 metrów i rozbryzgując się wytwarza całe obłoki drobniotkiego deszczu. Dalej płynie już Roztoka po równiejszym spadku, sparta nad wyraz dzikimi zboczami Wołoszyna i Świstówki, aż nareszcie przed połączeniem się z Białką jeszcze raz napotyka w wielkich tarasach spadające progi skaliste i po nich się przewala, tworząc aż trzy piętra Wodogrzmotów Mickiewicza, słusznie tak zwanych ze względu na huk słyszany zdaleka.

Po drugiej stronie grzbietu Świstówki leżą dwie, znowu jedna nad drugą, kotliny. Niższa, w której leży przeczudne Morskie Oko i wyższa — ze stawem Czarnym. Wody potoku spadają tu z wysokości prawie 200 metrów.

Gdy upieścimy oko wspaniałością barw i form w dzikich dolinach, wyjdźmy na szczyt, na wirch, na skalne turnie. A choć to zwykle połączone jest z wielkim trudem, a często dla nierozważnych i z niebezpieczeństwem, nie pożałujemy tego, bo tu dopiero szeroki świat ujrzymy.

Tam w dolinach mieliśmy cudowne szczegóły, tu obejmujemy mniejszą lub większą; lecz zawsze upajającą całość. Tu widzimy nagromadzone w malowniczym nieładzie olbrzymy górskie,

przystrojone w barwną szatę ciemniejszej i jaśniejszej zieleni z nagimi graniastymi wirchami, które gdzieś gdzieś świecą białymi plamami śniegu; w stronie przeciwnej oko wspiera się dopiero na krańcu widnokregu, obejmując olbrzymi płac równin, upstrzonych osadami ludzkimi i urozmaiconych śniegami pagórków. Tam u stóp skalistych piramid połyskują tafle jezior — tu rozwijają się wstęgi rzek. A co za kontrasty form, barw i cieni! Milmowoli przychodzi na myśl Pol.

Gdy się przed człkiem świat ten rozłoży

I tak wesoło i tak szeroko,

Aż serce skacze, że też Bóg tworzy

I góry takie i w głowie oko!

i dzikie zarazem. Na dnie ich, wyłobionem w głębokie kotliny lub zatamowanem przez rumowiska dawnych lodowców, świecą różnobarwne tafle wspaniałych jezior tatrzańskich, tej prawdziwej krasy Tatr Wysokich. Jeziora owe „z czystą jak kryształ wodą, mieniącą się wszystkimi barwami“, zwłaszcza seledynu, szmaragdu i szafiru, odbijają w swem zwierciadle całą grozę otaczających je skał, a wody ich wydostawszy się poza próg kotliny rwą w wodospadach ku niższym kotlinom, by nowe tam tworzyć cuda. Jedna z piękniejszych dolin poprzecznych w tych Wysokich Tatrach jest szczelinowa Dolina Roztoki. U szczytu jej rozległa kotlina, gdzie na różnych poziomach widzimy pięć Stawów Polskich, a najniższy i zarazem największy z nich—

Czy nie dziwne, czy nie smutne jest zjawisko, iż są ludzie, którzy się silą na wymyślanie sztucznych cudów. Niez szczęśliwi, nie znają przyrody, nie wiedzą, że natura na każdym kroku ma cudów prawdziwych moc wielką.

## X. Ogólny rzut.

A gdy obecnie mamy się pożegnać z tą uroczą krainą tatrzańską, rzućmy okiem na jej całość z góry<sup>1)</sup>.

Skalisty, połamany i porzeźbiony rdzeń tatrzański otoczyły w kształcie dwóch wideł cztery walne doliny: Dunajca czyli Nowotarska od półn. wsch., Popradu czyli Spiska od połudn. wschodu; obie utorowały drogę na północ ku Wiśle. Od półn. zach. dolina Orawy—Orawska i od półn. zach. Wagu czyli Liptowska wychodzą na południe ku Dunajowi. W ten sposób tą wielką bruzdą okólną można obejść całe Tatry, poza którymi ze wszystkich stron ciągną się inne łańcuchy gór wyżyny Słowacko-Polskiej.

„A tak, powiada Pol, możnaby całą krainę tatrzańską porównać do wielkiej naturalnej twierdzy przyrodzenia. Obydwie Magóry—Spiską i Orawską, na jej podnóżu położone do dwu przedwarownych szczytów; cztery olbrzymie doliny do olbrzymich rowów, opasujących tę twierdzę dokoła. Pasma lesiste gór za obrębem dolin do wielkiego wału, a obydwa wyłomy, doliny Dunajca i Wagu, przez grzbiet Beskidu i Tatr—do dwóch bram prowadzących do tej twierdzy“.

A gdzież rycerze tej twierdzy, tej strażnicy wspaniałej? — jeden olbrzym śpi na Giewoncie, a czy się obudzi, a czy są inni. I na to mamy odpowiedź w głosie górala<sup>2)</sup>:

„O zaśpionyk rycerzak opowiadajom, ze majom być kajsi zaśpioni w Giewoncie. Konie hań sto-



WIELKA SIKLAWA.

Fot. Z. Sosnowski.

jom przy złobak, bo ig hań widział kowal, Fakla, co ig kuł. Bo sie im podkowy psujom i przekuwać ig trzeba.

Janioł po tego Fakle do wsi, w Kościelisku chodzieł kilka razy za jego zywobycia.

Jest hań grota niezmierna, ciemna, ino sie kaganki świcom po ścianak. Ci rycerze śpiom, a co dziesięć lat, to nóstarsy pomiendzy niemi podźwiguje głowe i pyto sie janioła, co ig pilnuje:

— Cy juz cas?

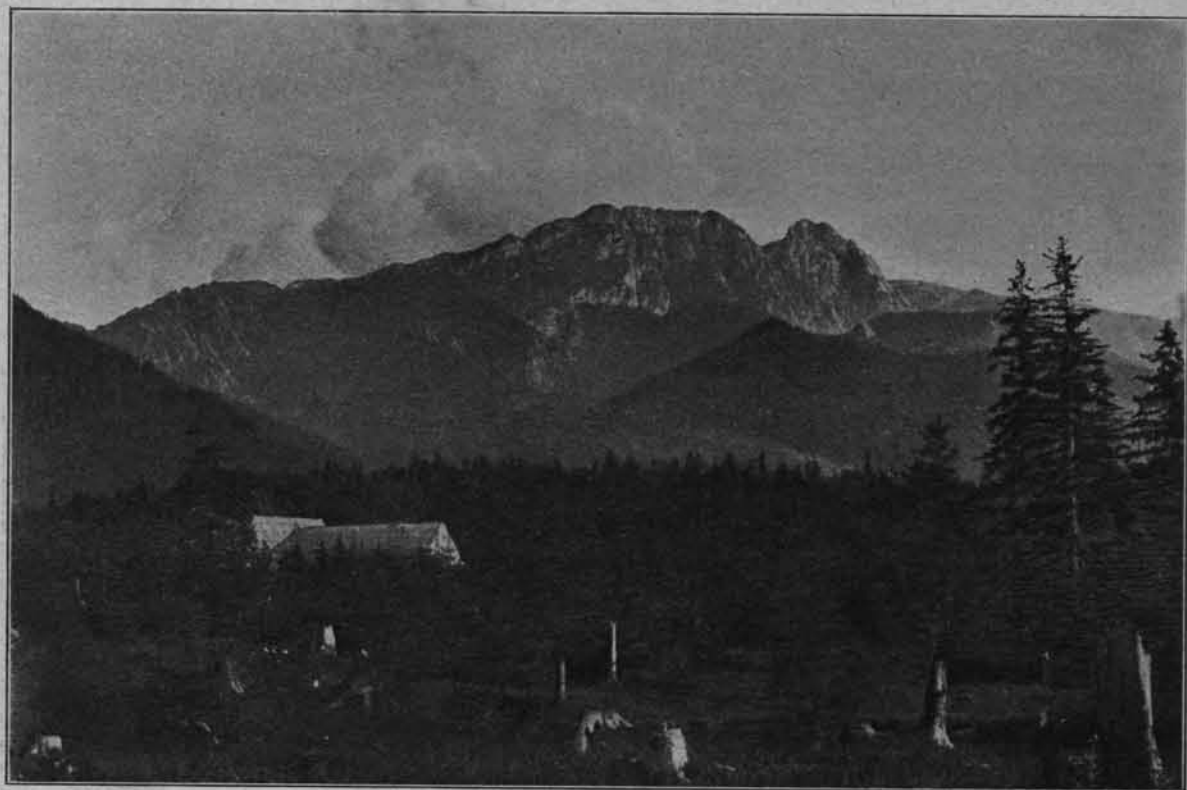
I sytk rycerze podźwigujom głowy w helmak zelaznych, ale janioł odpowiada:

— Nie, Spijcie.

I śpiom dalej.

<sup>1)</sup> Patrz mapę w Nr 44 „Ziemi“, str. 697.

<sup>2)</sup> Kazim. Przerwa-Tetmajer. Na skalnem Podhalu V. „Śpiący rycerze“.



GIEWONT — „ŚPIĄCY RYCERZ“.

Fot. Z. Sosnowski.

Nad niemi jest Skala wielga i głęboko do ziemi trza iść ku nim.

Ino ze hań nie trefi ino ten, co go janiol pilnujący powiedzie.

Jo se to nieraz myślał o tém i médétujem se, a i Faklek znał i słyselek, jako ópowiadał.

Jo se to nieraz myślem i myślem se: moze to i być. Mozom być zaśpieni rycérze w Giewoncie, bo sytko w boskiej mocy.

Ale se i to myślem kie niekie, ze wto wie, jako to? Cy som nie jest w naskik łtopskik piersiak zaśpioni śpiący rycérze i cy to pote ta skała, kany śpiom, to nie my?“...

Tak mówi góral a my te jego medytacye weźmy gorąco do serca.

(c. d. n.).

Paweł Sosnowski.



## Nafta i wosk ziemny w Galicyi. <sup>8)</sup>

Pod koniec 1908 r. na gruntach tustanowickich istniało 156 przedsiębiorstw z 223 szybami, których głębokość przekraczała przeważnie 1000 m., a które zatrudniały do kilku tysięcy robotników. Przeciętnie wydajność jednego szybu w Tustanowicach wynosi dziennie do 5 cystern, co odpowiada 5 wagonom ropy, chociaż spotykamy na gruntach tustanowickich i szyby o wydajności jednej, lub odwrotnie 30 — 40 cystern dziennie. Wogóle w pierwszych dniach wybuchu, świeżo

otwartych szybów wydajność bywa niekiedy ogromna, że wspomnę tu wybuchy kopalni „Litwy“, „Wilna“ a wreszcie „Oil-City“ z produkcją 100 cystern dziennie, które potokami ropy były z łona ziemi, zalewały okoliczne pola i łąki, spływając do rowów i pobliskiej rzeczki. Zaiste wielka zmiana w stosunkach naftowych, jeśli przypomnimy sobie, że w 1850 r. 10—15 garncy ropy z szybu dziennie nazywano już świetną wydajnością!

Jakżeż więc przedstawia się ta olbrzymia pro-

dukcyja Galicyi wobec wszechświatowej ogólnej cyfry produkowanego rocznie surowca naftowego?

Jakież jest stanowisko naszych terenów naftowych wobec nieprzebranych bogactw naftowych Ameryki lub Kaukazu? Otóż Galicya w tej ogólnej światowej produkcji nafty, która, zaczynając od skromnej ilości kilkuset tonn, w r. 1908<sup>1)</sup> dosięgła już olbrzymiej cyfry 38.000.000 tonn, zajmuje obecnie 3-cie miejsce z kolei, produkuje bowiem 4.6% całej ilości nafty. Pierwsze miejsce w światowej produkcji nafty zajmowały i zajmują ciągle Stany Zjednoczone, dając 63% całej ilości, drugie — należy przyznać Rosyi z produkcją 21.75%. Rumunia, która długi czas była tak niebezpiecznym konkurentem Galicyi, obecnie ustąpiła z placu boju i zajmuje dopiero miejsce czwarte, dając 3% światowej ilości nafty surowej.

Nie tak imponująco przedstawiają się cyfry, wyrażające produkcję wosku ziemnego w granicach Galicyi. W r. 1865 według Licinsky'ego było w odbudowie 5000—6000 studzien na głównym obszarze boryslawskim, które zatrudniały do 5000 robotników a dostarczały rocznie 25.200 cetn. metr. wosku. W r. 1870 roczna produkcya kopalń boryslawskich według Teleżyńskiego wynosi do 56.000 cetn. metr. W r. 1873 Windakiewicz podaje dla całej Galicyi sumę 196.537 cetn. metr. wosku wartości 3.500.000 złr., z czego na Starunię i Dźwiniacz przypada tylko 960 cetn. metr. Widzimy więc, że przemysł ozokerytowy około 1873 r. rozwijał się znakomicie. Obserwując produkcję wosku w latach następnych dostrzegamy jednak powolny jej upadek. W r. 1892<sup>2)</sup> Borysław, Wolanka i Truskawiec dostarczają już tylko 50.000 cetn. metr. ozokerytu, a chociaż Dźwiniacz, Starunia i Mołotków, rozwijając się powoli lecz stale, w roku tym wyprodukowały przeszło 5.000 cetn. metr. wosku, to bądź co bądź ogólna suma przedstawia się dość smutnie wobec bogatej wydajności 73-go roku.

Dawna rabunkowa gospodarka i oplakane stosunki górnicze Borysławia poczęły przynosić owoce, oczekiwane i przepowiadane przez wielu. Główny płytko leżący zapas ozokerytu został już wyczerpany, a eksploatacyja żył głębszych wymagała ogromnych sum pieniężnych i była nawet połączona z niebezpieczeństwem życia robotników. Ceny ozokerytu poczęły wzrastać. Jeszcze około 1873 r. cetn. wosku kosztował 10, 13, do 17 złr., później ceny wzrosły nawet do 30 złr., a w ostatnich latach 125 — 135 kor. za 1 cetn. metr jest ceną bardzo powszechną.

Wogóle przemysł ozokerytowy w ostatnich latach przedstawia się w mocno szarych barwach. W r. 1907 produkcya wosku ziemnego w Galicyi wynosiła już tylko 26.450 cetn. metr., z czego w Borysławiu produkowano 22.400 cetn. Rok 1908 przynosi 160 wagonów ozokerytu, w tem 150 przypada na Borysław. Robotników zajętych we wszystkich kopalniach wosku, obecnie jest około 1000, wartość zaś ogólna wyprodukowanego wosku, mimo wysokich cen, dochodzi zaledwie do 3 milionów koron.

Przemysł ozokerytowy upada więc widocznie z każdym rokiem, obserwując zaś te smutne stosunki, mimowoli stajemy wobec pytania, w czem leży główna przyczyna tego oplakanego stanu? O względach czysto górniczych, oraz o trudnościach technicznych, połączonych z eksploatacyją głębszych żył woskowych, wspominałam już uprzednio, jest jednak jeszcze jedna przyczyna, która nieubłaganie prowadzi do upadku tej gałęzi naszego przemysłu, a jest nią coraz mniejsze zapotrzebowanie wosku ziemnego. Jak wiadomo, do głównych produktów handlu, wyrabianych zwykle z wosku, należą: parafina i cerezyna. Co do parafiny, to rafinerje nafty, dostarczając po niskich cenach produktu tego w obfitości, stały się w ostatnich latach nader niebezpiecznym konkurentem przemysłu woskowego. Cerezyna zaś, używana obecnie w handlu, nie jest chemicznie czysta, ale zazwyczaj pół na pół zmieszana z parafiną, przez co popyt na wosk także się zmniejsza. W kraju więc ozokeryt wskutek zmniejszającej się produkcji, staje się coraz droższym materiałem i nie cieszy się wielkiem powodzeniem. Eksport zaś za granicę w ostatnich latach również osłabł znacznie. Dawniej znaczne ilości wytopionego wosku dostawały się do Niemiec, Wiednia i Czech, a zwłaszcza do Rosyi, głównie do fabryk Królestwa w Strzemieszycach i Sosnowcu, które poddawały wosk przetopiony dalszym przeróbkom chemicznym. Do Anglii wywóz był znacznie mniejszy. W Galicyi samej małą tylko część surowca t. j. około  $\frac{1}{10}$  ogólnej sumy przerabiano na użytek krajowy. Aby porównać eksport lat ubiegłych z obecnymi warunkami, podam jeszcze parę cyfr. W 1892 r. wywieziono do Wiednia, Czech i Moraw 26.300 c. m. wosku, ilość wywiezionego ozokerytu do Niemiec wynosiła 2.500, do Rosyi zaś 15.700; ogółem suma wywiezionego wosku wynosiła 45.100 c. m.

Natomiast w 1907 r.<sup>1)</sup> z ogólnej cyfry 18.112 c. m. wosku eksportowanego, 15.283 zakupiły Niemcy, reszta zaś dostała się do Francyi, Belgii,

<sup>1)</sup> Nafta 1909 r. zeszyt 20. Światowa produkcya ropy w r. 1908.

<sup>2)</sup> Szajnocha I. c.

<sup>1)</sup> Nafta 1908 r. Zeszyt 7. Eksport i import wosku ziemnego i nafty w monarchii Austr.-Węgier. dla 1907 r.



Szwajcaryi i Włoch. Wogóle eksport wosku do Rosyi od chwili wojny rosyjsko-japońskiej prawie zupełnie ustał, prawdopodobnie zastąpiły go woski kaukazkie, z wyspy Czeleken na morzu Kaspijskiem, które są bardzo w parafinę bogate.

Musimy zatem zgodzić się na fakt, że wosk ziemny przestał już być produktem głównym odbudowy górniczej, ale że musi być raczej uważany za produkt uboczny, kosztowny, uszlachetniająco tylko inne surowce, np. parafinę rafinerii naftowych. Skąpa produkcja, wysokie ceny oraz równoczesna stagnacja zbytu, oto rysy charakteryzujące obecnie przemysł woskowy Galicyi; w całości obraz dość opłakany.

Jeżeli więc porównamy dane przemysłu ozokerytowego ze wspaniałą produkcją szybów naftowych Galicyi, to mogłoby się zdawać, że przemysł naftowy, rozwijając się na zdrowych podstawach, powinien przynosić znakomite zyski pieniężne, oraz stać się źródłem bogactwa dla kraju.

A jednak tak nie jest. Nad przemysłem naftowym galicyjskim wisi pewnego rodzaju fatalizm. Bo czyż nie jest fatalizmem, że przytoczę tu piękne słowa Bartoszewicza<sup>1)</sup> „mieć w kraju olbrzymie bogactwa, ukryte w głębinach ziemi, umieć je po mistrzowsku wydobywać z tych głębin, umieć odnajdywać bez promieni Roentgena miejsca, gdzie skarby te w głębokości kilometrowej są przechowane i nie umieć gospodarować temi bogactwami, kiedy zostały mozolnie na powierzchnię ziemi wydobyte?“ W nieopatrznej gospodarce, w nierozsądnym administrowaniu bogactwami terenów ropodajnych tkwi zasadnicza wada naszego przemysłu. Z początku rozwoju przemysł naftowy, jakkolwiek na skromną prowadzony skalę, dla kraju był nader korzystny. Cena 1 cetn. metr. utrzymywała się przy 3.5—4 złr., to też niewielkie nawet wydajności studzien naftowych przynosiły wcale pokaźne zyski, i ropę zakupywano ze skwapliwością na wewnętrzne potrzeby monarchii Austr.-Węgierskiej. Jednym słowem, dopóki cena ropy odpowiadała jej faktycznej wartości, oraz odpowiadała cenom na targu światowym, dopóki wreszcie pokrywała

koszty wierceń, dopóty przemysł naftowy rokował jak najpiękniejsze nadzieje. Ale wzrastająca ciągle produkcja nafty, i to wzrastająca raptownie, wstrząsnęła nagle podstawami naszego przemysłu, które aż dotąd wydawały się tak pewne. Galicya<sup>1)</sup>, która w r. 1894 produkowała 13.000 wagonów ropy, w 1907 r. daje już 160.000 wagonów, a i rafinerie powiększyły swą sprawność do 110.000 wagonów rocznej przeróbki ropy. Przeciętny szyb borysławski, którego koszt dochodzi do 300.000 kor., osiąga 1.150 m. głębokości. Skutki, zaiste, jak na tak krótki przeciąg czasu wprost zdumiewające, ale tak, jak w bajce, nadmiar szczęścia stał się właśnie klęską kraju.

Chwilą przełomową możemy nazwać czerwiec 1902 r., odkąd rozpoczyna się marnotrawstwo bogactw naftowych Galicyi. W czerwcu bowiem roku 1902-go firma Mikucki i Perutz osiągnęła szybem „na Feilera“ w Borysławiu o głębokości przeszło 800 m., produkcji, która przeszła najsmielsze nawet oczekiwania. Ropa polała się z głębin ziemi potokiem, który nie dając się długo opanować, dostarczał wcale poważnych zysków „rybakom“ wsi okolicznych. Ci, łowiąc ropę zebrań w rowach i dołach, sprzedawali ją z wielką uciechą po niskich cenach. Natomiast radość przedsiębiorców była z powodu tego marnotrawstwa bogactw naftowych daleko mniejsza, bo jak to trafnie zauważył kiedyś Gruszkiewicz, chociaż suma materii we wszechświecie ciągle jest ta sama, ale ludziom niestety zawsze chodzić będzie o to, w czyjej znajduje się ona kieszeni.

W każdym więc razie faktem jest, że dzień 26-go czerwca 1902 r. stał się w historii przemysłu naftowego dniem krytycznym. Z dniem tym rozpoczyna się raptownie niższa ceny oraz równoczesny coraz gwałtowniejszy wzrost produkcji nafty. Przedsiębiorcy zrozumieli bowiem, że produkcja niewielka, która dotąd przy wyższych cenach ropy, była dość zyskowna, przy cenie 2 kor. a nawet 1 korony za cetn. nie może mieć dla nich wartości.

(d. n.)

*Dr. Ludomira Biegańska.*

<sup>1)</sup> Nafta. 1908 r. Zeszyt 24. St. Bartoszewicz. Pogląd na dzieje przemysłu naftowego.

<sup>1)</sup> Nafta 1908. Zeszyt 19. Pogląd na dzieje przemysłu naftowego w ostatnich 10 latach.



# O skorowidz ziem polskich.

Niewiem, ile inne narody i społeczeństwa posiadają wiadomości o swym kraju, ale to pewna, że my niemi niewiele poszczycić się możemy. Ogół nasz odznacza się zupełną ignorancją geograficzną —

krajoznawczą, a przyczyna tego jasna. Z jednej strony brak odpowiednich w tym kierunku podręczników i książek naukowych, z drugiej — jakaś dziwna tendencyjna niechęć podróżowania po własnym kraju. Śmiało twierdzić można, że wielu z tych, którzy podróżowali po Włoszech, Francji i t. p. nie odbyło ani jednej wycieczki po kraju własnym, chyba najwyżej w przejeździe do obcych ziem.

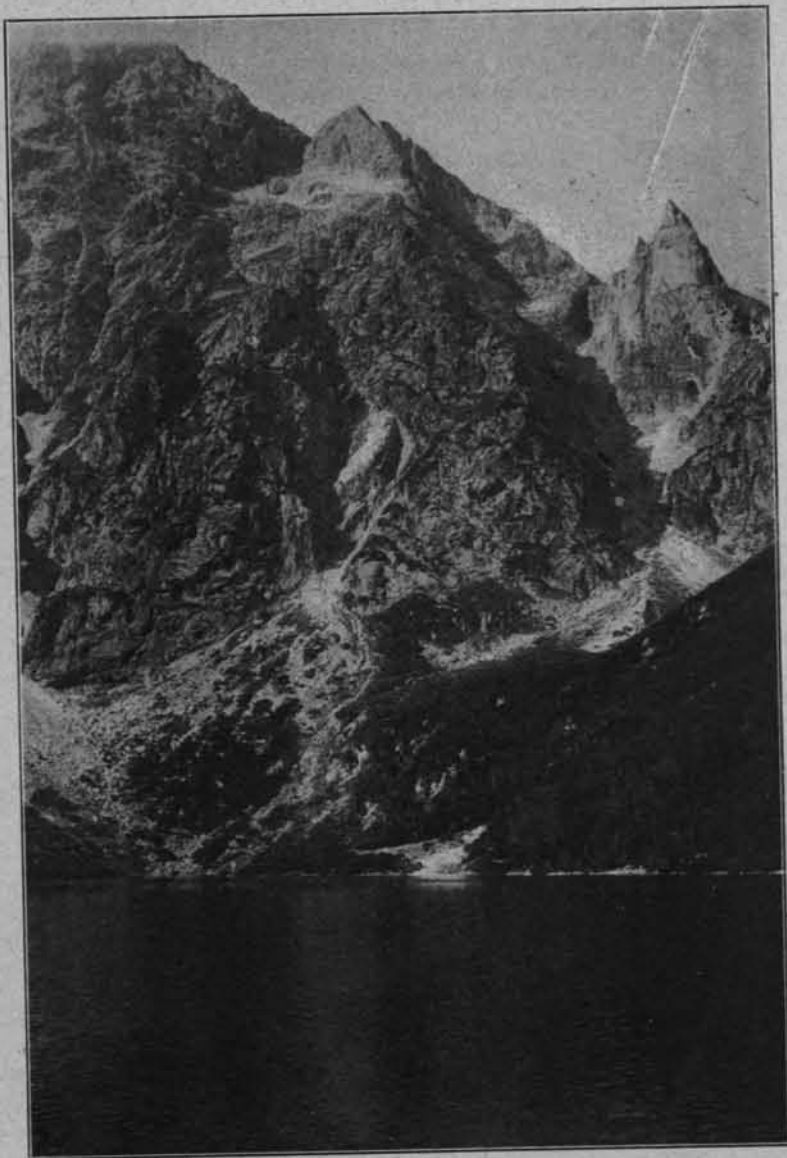
Z brakiem znajomości krajów naszych idzie w parze zapoznanie ich warunków, potrzeb kulturalnych i t. p., a zatem i nieświadaomość często najistotniejszych czynników rozwoju danej dzielnicy — danego środowiska.

Szczególniejszy wpływ wywierają w tym względzie kordony. Mieszkańcy jednej dzielnicy drugą znają tylko z pism, a nierzadko po zobaczeniu

pierwszego lepszego zakordonowca, wyrabiają sobie najfałszywsze pojęcie o danej prowincji.

Okazem tej ignorancji krajoznawczej jest niestety nasza prasa, w której roi się od błędnych informacji, przekręconych nazw miejscowości, lub dał statystycznych.

Do art. „Karpaty”.



MNICH NAD MORSKIEM OKIEM.

Fot. Z. Sosnowski.

Szczególniej daje się to odczuć przy wzmiankach o Poznańskim, gdzie już całe szeregi nazw miejscowości są ziemczone. Wrazie jakiegoś zdarzenia niemieckie biuro korespondencyjne podaje o tem wiadomość. Pisma polskie, nie mając własnego biura, korzystają z obcych doniesień, ale prawdę powiedz i a w s z y, korzystają źle i niedbale. Często z treści doniesienia widać, że zaszło ono w Poznańskim lub innej prowincji polskiej, — tymczasem nazwa miejscowości jest niemiecka, wiadomość będzie zatem dla większości polskich czytelników

niezrozumiała, — i traci połowę swej wartości. Faktem jest, że przez to uznaje się, toleruje się, a nawet posługuje się germanizacją hakatystów. Czyż można dziwić się później pewnej goryczy

czytelników w Poznańskim, którzy czytając nasze pisma widzą swą czysto polską miejscowość w polskim piśmie nieraz przechrzczoną na sposób niemiecki.

Mam całą plikę notatek, gdzie pisma nasze i galicyjskie w najohydniejszy sposób poddają się tej germanizacji nazw sąsiedniej dzielnicy: Śląska cieszyńskiego. I to z równie lekkim sercem w stosunku do mniej znanych miejscowości, jak przy ogólnie znanych dziś i głośnych. O polskim miasteczku Dąbrowie, siedzibie polskiej szkoły górniczej i pierwszej szkoły wydziałowej, — pisze się: „w Dombrau na Śląsku zdarzyła się katastrofa w kopalni węgla“. Dzieńmorowice, które wstawiały się strejkami o szkołę polską — ten sam dziennik zna tylko pod nazwą: „Dittmamsdorf“... Szczytem zaś jest chyba wszystkiego, że w tym samym prawie numerze umieszczono wiadomość o otwarciu gimnazjum realnego w „Orlau“ (Orłowej).

Wieś polska Darków figuruje w jednym z wielkich pism lwowskich, propagujących dość gwałtownie polskość, jako „Darkau“, a prawie wszystkie pisma polskie doniosły, że w Ernsdorfie na Śląsku paliła się karczma, choć jednocześnie pisały, że w Jaworzu otwarta została szkoła polska — nie wiedząc, że te dwie nazwy oznaczają jedną i tę samą miejscowość.

Najwięcej zaś szkody, moim zdaniem, uczynił p. Czyński, tak potwornie przekręcając nazwy polskich miejscowości na Śląsku w statystyce liczebnej Polaków. Polską miejscowość Strumień — polszczy z niemieckiej nazwy Szwarcwasser: Czarna woda, z Bielska robi Białkę, a z Jabłkonkowa, historycznie i geograficznie znanej miejscowości, — Jabłtonkę.

To są przykłady z jednej tylko przeważnie dzielnicy, sędzę, a nawet napewno przypuszczam, że dzieje się to i w innych.

Temu zaradzić trzeba koniecznie i to jak najszybciej. A jedyną radę widzę w opracowaniu obszernej geografii polskiej, jako podręcznika dla ogółu — a przedewszystkiem skorowidza statystycznego, któryby zawierał wszelkie możliwe daty i objaśnienia dla ściślejszego grona interesowanych, a przedewszystkiem dla prasy, aby ta fałszywie nie informowała ogółu. Skorowidz taki, obejmujący ziemie całej Polski, lub nawet każdej dzielnicy z osobna, obok nazwy polskiej i obcej, mógłby zawierać dane statystyczne narodowości, wreszcie inne cyfry i uwagi dla każdej miejscowości ważniejsze.

Tą drogą uda się nam może wyplenić wkładające się zło, które o nas samych dobrze nie świadczy zapewne.

St. Warcholik.

## Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.



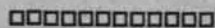
Komisyja wycieczkowa przy Polskiem Tow. Krajozn. postanowiła urządzić dwie wycieczki staromiejskie, a mianowicie dn. 13 i 27 listopada r. b.

Przytem rozpatrzono kilka złożonych projektów na wycieczki dalsze, mianowicie podczas zimy:

1) do Ojcowa, 2) do Zakopanego i 3) do puszczy Białowieskiej.

Wszystkie 3 projekty w zasadzie przyjęto — wykonanie zaś ich i termin uzależniono od charakteru zimy, jaka u nas wypadnie, a mianowicie czy spadnie dostateczna ilość śniegu i czy dopiszą mrozy, gdyż tylko w takim razie spodziewać się można tak w Ojcowie lub Zakopanem czy Puszczy małowiczyczych zimowych krajobrazów.

Na wiosnę projektowana jest seryja wycieczek do zakładów ogrodniczych warszawskich i podmiejskich, na początek zaś lata do Połagi.



## Nowe książki.

*Pamiętnik Fizyograficzny. Tom XX, wydany z zapomogi Kasy dla osób, pracujących na polu naukowym im. dr. med. Józefa Mianowskiego. Warszawa 1910 r.*

Trzy lata upłynęło od czasu ukazania się poprzedniego tomu tego jedynego w Królestwie naukowego wydawnictwa z zakresu fizyografii ziem polskich. Ale bo też dział ten ze wszystkich gałęzi krajoznawstwa jest u nas bodaj najbardziej traktowany po macoszemu, nie znajdując należytego poparcia u naszego inteligentnego ogółu, pozbawiony niezbędnych instytucji naukowych, osierocony z pracowników zamiłowanych a wytrwałych...

W miarę tego, jak fale dobroczynnego wpływu Szkoły Głównej na studia krajoznawczo-naukowe z czasem słabły, jak nasze zdobycze z zakresu anatomii mikroskopowej i fizjologii porywają i przykuwają do mikroskopu szeregi pokoleń młodych przyrodników, a dociekania te, zamknięte w czterech ścianach pracowni, pozwalają im zapomnieć o rzeczywistej, tętniącej życiem przyrodzie, o tem, co stanowi całe piękno i potęgę kraju ojczystego — szeregi badaczy na polu

fizyografii—szczególniej w zakresie faunistyki i florystyki coraz bardziej przerzedzają się. I blzkie już byłoby one zupełnego zaniku, gdyby nie nowa fala ożywca, gdyby nie nowy zwrot ku lepszemu.

Niedawno, w Nr 41 „Ziemi“, podawaliśmy sprawozdanie z wydawnictwa krakowskiego kółka przyrodników, świadczącego o poważnym zwrocie naszej studującej młodzieży ku fizyografii naukowej.

Obecny tom „Pamiętnika Fizyograficznego“, a więc tom poniekąd jubileuszowy—zrodził się jeszcze w ciężkich warunkach stanu dotychczasowego, stanu ponieważ fizyografii krajoznawczej.

Powinszować więc wydawcom należy, że wytrwale ostali się na przerzedzonej, zdziesiątkowanej przez jednostronność młodszej generacji przyrodników placówce i wyrazić przekonanie, że tom następny ukaże się niedługo w pomyślniejszych dla fizyografii polskiej warunkach.

Omawiany tom zawiera następujące prace:

#### Dział I. Meteorologia.

Spostrzeżenia meteorologiczne, dokonane w ciągu lat pięciu, od 1904 do 1908 roku, na stacjach meteorologicznych sieci warszawskiej.

#### Dział II. Miscellanea.

L. Gembarski. Zmienność dna rzeki Wisły.

W. Leśniewski. Jeziora w gub. witebskiej (pow. newelski).

I. Kopista. O wpływie warunków klimatycznych na urodzaje Europy Środkowej.

M. Twardowska. Rośliny z zielnika Jana Wolfganga.

Ś. Miklaszewski. Spis bibliograficzny rozpraw, dzieł i artykułów, dotyczących gleboznawstwa ziem polskich.

K. K-ć.

□□□□□□□□□□

## Kronika Krajoznawcza.

+ Parcelacya rozwija się w ziemi płockiej żywiłowu; przez ostatnie lat kilka szła ona szybko na pograniczu z Prusami. Rozczłonkowano duże majątki w pow. lipnowskim: Ciechocin, Czernikowo, Działyń, Mieczynek (w części), Czernikówko, Zimną Wodę, Tupadły; w pow. rypińskim: Duls, Wilczewo, Szafarnię, Rokitnicę, Jakóbkowo, Szczutowo i inne mniejsze. Te majątki rozkupili prawie wyłącznie włościanie miejscowi za grosze, zapracowane w Ameryce.

W r. z. i w r. b. ruch parcelacyjny przeniósł się do pow. sierpskiego. Rozprzedano Młotkowo, Muchomor, przygotowuje się rozczłonkowanie dużych majątków: Grąbca, Osieka Wielkiego, Mochowa, Bożewa. Włościanie sierpscy ubożsi kupują mało, a główny kontyngens nabywców stanowią chłopi z Sochaczewskiego, Łowickiego, Kujaw itp.

Na tem jednak nie koniec. Głos Płocki donosi, że jeszcze bardzo wiele drobnych majątków przeznaczono na sprzedaż nie tylko w wymienionych powiatach, ale w sąsiednich: płockim, mławskim, ciechanowskim. Do parcelacyi wielkich dóbr rozwozińskich nabywca, Bank włościański, przystąpi z wiosną.

◆ ◆ ◆

+ Korespondent Słowa z Łucka donosi, że prawo o ograniczeniach przy kupnie ziemi, aczkolwiek zostało wniesione zaledwie przed kilkunastu dniami przez rząd do izb prawodawczych, w gub. wołyńskiej jest stosowane już od kilku miesięcy. Tak np. w pewnej wsi było 30 kolonistów-Mazurów, którzy tam siedzieli od lat 35, dzierżwiąc grunta dworskie. Wierzę należała do właściciela Polaka. Ten ją sprzedał z biegiem czasu Rosyaninowi. Nowemu właścicielowi było dobrze i wygodnie ze starymi dzierżawcami, którzy płacili do 6 rb. rocznie z dziesięciny. Ale nowy właściciel sprzedał z kolei dobra swoje Bankowi włościańskiemu, który osadza na gruntach nabytych chłopów miejscowych—Mazurów bowiem gubernator pozwolenia na prawo kupna odmówił.

+ Dzienniki litewskie donoszą o parcelacyi wielkich dóbr kryżborskich (Krenzburg), położonych w Inflantach polskich w pow. dynaburskim, a nabytych przez Bank włościański od Mikołaja bar. Korffa. Z ogromnych dóbr, obejmujących około 40,000 dzies, większa część podzieloną już została na kolonie, z których sprzedano już przestrzeń 4,000 dzies. 100 rodzinom rosyjskim przeważnie staroobrzędowcom. Bank swoim kosztem dokonywa melioracyi mokradeł, dotychczas przekopawszy rowy długości 220 wioś.

+ „Głos Podlasia“ donosi, że Bank włościański wszczął pertraktacye o kupno Białej i Kodnia na Podlasiu z pełnomocnikami właścicielki tych dóbr, p. Heleny Kohen. Dobra białskie niegdyś były własnością ks. Radziwiłłów, od których w drodze sukcesyi przeszły do ks. Hohenlohego. Wkrótce nabyła je p. Kohen. Nadbużne zaś dobra kodeńskie należały przedtem do ks. Sapiehów, później do hr. Tyszkiewiczów, którzy sprzedali je p. Kohen. Dobra kodeńskie, obejmujące około 150 włók obszaru, po kupnie przez Bank Włościański, mają być rozparcelowane pomiędzy włościan wyznania prawosławnego.

◆ ◆ ◆

+ Gazeta Kielecka o muzeum krajoznawczem w Pieskowej Skale i Ojcowie pisze co następuje:

„Na całą Polskę słynna z piękna swej natury dolina Prądnika, posiada w Ojcowie i Pieskowej Skale dwa ogniska zbiorów przyrodniczo-krajoznawczych.

Pieskowa Skala mianowicie, z jej wspaniałym zamkiem, jest iście idealnem miejscem dla wielkiego muzeum lokalnego. Pomieszczone obok bramy wjazdowej drugiego podwórca, pomnaża się ono nieustannie licznymi okazami: już to z darów postronnych, już ze znalezisk miejscowych. Pożądane jest tylko szybsze

urządzenie odpowiednich gablot, szafek, pótek dla należytego rozłożenia okazów i lepszej ochrony od kurzu, a po większym rozroście tych zbiorów przeniesienie ich do sali obszerniejszej i lepiej oświetlonej.

W Ojcowie zbiory krajoznawcze muzeum zamkowego, mają jeszcze szczuplejsze pomieszczenie, w jednej komnacie nad bramą wjazdową, i wołają również o lokal obszerniejszy. A niektóre gabloty obejmują tam nader piękne i starannie ułożone okazy. Mianowicie gabłota botaniczna z zielnikami wielu rzadkich roślin, dokładnie oznaczonych przez p. Gampfa, nadleśnego Ojcowia.

Biblioteki i czytelnie nasze mieszczą się w ciasnych ciemnych ciupach, w sąsiedztwie wspaniałych a gwarnych sal balowych, sal jadalnych, bufetów z przekąskami, wódką, winem i piwem...

Wartoby te rzeczy u nas nieco poprawić...

Po raz pierwszy w tym roku w okolicach Ojcowia pr edsięwzięto spostrzeżenia nad promieniotwórczością atmosferyczną. Dokonał ich p. Stanisław Landau w większych jaskiniach doliny Prądnika: Łokietkowej, Ciemnej, Nietoperzowej i Wierzchowskiej. Wyniki tych badań ogłosił drukiem w „Sprawozdaniach Towarzystwa naukowego warszawskiego” z r. b. i osobnej odbitce z tychże.

Poszukiwania archeologiczne w jaskiniach doliny Prądnika i w tym roku, jak dawniej, prowadził w dalszym ciągu gorliwy ich badacz S. J. Czarnowski, w czerwcu i lipcu.

Byłoby pożądanę, aby wiele niezbadanych dotąd jaskiń okolic Ojcowia i Pieskowej Skály zostały przekopane systematycznie przez znawców zawodowych z zachowaniem należytej ścisłości naukowej.

Towarzystwo przyjaciół Ojcowia i administracya miejscowa lasów winnyby zapobiegać dorywcemu rozkopywaniu namułów i płądrowaniu jaskiń przez amatorów przygodnych, którzy tylko niszczą cenne zabytki przedhistoryczne\*.



† Dnia 18 października r. b. otwarto dla użytku publicznego kolej żelazną ze Lwowa na Kamionkę Strumiową do granicy kraju pod Stojanowem.

Nowa kolej, mierząca 87 klm. długości, ma doniosłe znaczenie ekonomiczne dla znaczного obszaru kraju, położonego na północny wschód od Lwowa a przede wszystkim dla powiatu kamioneckiego.

Okolica tamtejsza była dotąd jakby odcięta od świata, a naturalne jej bogactwa nie mogły być dla braku dogodnej i taniej komunikacyi intensywnie eksploatowane.

Nie mniej ważną jest ta kolej dla Lwowa, z uwagi, że ułatwi znakomicie zaopatrzenie miasta w żywność.

Właściwego znaczenia nabierze jednak omawiana linia dopiero w przyszłości, gdy uzyska połączenie z projektowaną po drugiej stronie granicy drogą żelazną z Łucka do Drużkopolu względnie do Stojanowa.

† Komisyja budżetowa sejmu galicyjskiego uchwaliła, na podstawie referatu pos. Leo, następujące subwencye na ochronę pomników historycznych: na restauracyę kościoła św. Piotra w Krakowie 4,000 kor., św. Floryana w Krakowie 6,000 kor., płatną w dwóch latach po 3,000 kor., na kościół bonifratrów św. Trójcy w Krakowie 5,000 kor., płatne w dwóch latach po 2,500 koron, na restauracyę starożytnej bóżnicy w Krakowie 2,000 kor., na restauracyę ruin w Tyńcu 6,000 kor., płatne w dwóch latach po 3,000 kor., na restauracyę kościoła w Osieku 1,000 kor., na restauracyę kamienicy Sobieskiego we Lwowie 50,000 kor., płatne w pięciu latach po 10,000 kor., na restauracyę monastynu bazylianów w Krechowicach 1,500 kor. na restauracyę kościoła w Szczercu 1,000 kor. Poza tem komisyja uchwaliła wnieść rezolucyę do rządu o przyczynienie się zasiłkiem 50,000 kor. do restauracyi kamienicy Sobieskiego we Lwowie, oraz o wydanie ustawy o konserwacyi zabytków.

† W ostatnim zeszycie poważnego pisma naukowego „Deutsche Revue”, prof. politechniki w Akwizgranie, Maks Eckert, podaje projekt szczegółowy olbrzymiego kanału między Paryżem a Warszawą i Warszawą a Odesą przez odpowiednie połączenie wielkich rzek i utworzenie kanałów, umożliwiających stałą żeglugę. Prof. E. wskazuje na to, że Anglia i Ameryka powoli zdobywają wszystkie rynki azyatyckie, a jeżeli mocarstwa europejskie zawczasu nie utworzą bliższej drogi wodnej do Azji o tanim frachcie przewozowym, to nigdy już nie będą mogły konkurować z tamtymi mocarstwami w Azji. Projekt zaznacza między innemi, że w razie uzczywistnienia go, Warszawa stanie się największem centrum handlowem w Europie, jako punkt środkowy handlu Europy z Azją. Sfery techniczne uważają projekt za wykonalny. Autor projektu ma też nadzieję, że znajdując się na ten cel potrzebne kapitały.



**TREŚĆ:** *Wacław Nałkowski*—Polska, jako kraina przejściowa (dok.); *St. Thugutt*—Z dziejów Krakowskiego Przedmieścia (z 4 ilustr.) (dok.); *Paweł Sosnowski*—Karpaty (d. c.) (z 7 ilustr.); *Dr. Ludomira Bięgńska*—„Nafta i wosk ziemny w Galicyi” (d. c.); *St. Warcholik*—O skorowidz ziem polskich. Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. — Nowe książki. — Kronika Krajoznawcza.

Winięty tytułową i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki—Odbito w tłoczni Piotra Laskauera. — Składał i tamal Józef Miałan. — Odbijał na maszynie Waleryan Szlicht. — Klisze wykonane w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki.

Redaktor i Wydawca **Kazimierz Kulwiec**.